

Ks. Jerzy SZYMIK

NADZIEJA Z ARTRETYCZNIE OPUCHNIĘTYCH KOLAN Chrześcijaństwo a kultura – czy nadchodzi era postchrześcijańska?

Chrześcijaństwo budowane na wydarzeniu Jezusa Chrystusa, na paradygmacie Wcielenia, ma w sobie genetycznie niejako zakodowaną słabość – pewien rodzaj charakterystycznego tylko dla niego „wewnętrzznego pochylenia w stronę przegranej”. Jest mianowicie Boskim pomysłem realizacji zbawienia człowieka i świata, ale „kenotycznie” skrojonym na ludzką miarę.

I

W ciągu ostatnich dwudziestu wieków w relacjach pomiędzy chrześcijaństwem a wielością odmian ludzkiej kultury bywało, jak wiemy, bardzo różnie. Od głębokiego wzajemnego przenikania po równie głębokie wzajemne animozje. Obecnie relacja ta zdaje się także znajdować na jednym z ryzykownych zakrętów i nie bardzo wiadomo, co jeszcze z tego wyniknie. Radykalne diagnozy na temat (nie)obecności chrześcijaństwa w kulturze, jakie tu i tam się stawia, przybierają nierzadko postać ponurego wieszczenia nadejścia ery postchrześcijańskiej. Żyjemy więc – brzmiały w uproszczeniu owe diagnozy – nie tylko w czasach postindustrialnych, postmodernistycznych, ale również postchrześcijańskich¹. Niektórzy więc piszą książki w stylu „co dalej po chrześcijańskim Bogu?”², krytyczne rozprawy na pograniczu erudycyjnych dywagacji i literackiego eseju na temat emancypacji, indyferencji, dekonstrukcji i podej-

¹ Daleka od tego rodzaju „ponurego radykalizmu”, ale przenikliwie gorzka jest diagnoza T. Węclawskiego dotycząca stanu „myśli i kultury chrześcijańskiej w świecie coraz wyraźniej pochrześcijańskim”, sformułowana w jakże aktualnym kontekście problematyki Roku Boga Ojca: „W wielkim uproszczeniu stan ten można przedstawić tak: wyzwania, które pojawiły się wraz ze światem nowożytnym, odgrywają rolę mniejszą niż jeszcze stosunkowo niedawno, wciąż jednak nie można ich uznać za nieaktualne i przebrzmiałe. Równocześnie wielowiekowy kulturowy niepokój związany z poszukiwaniem właściwego odniesienia do Bożego ojcostwa, który stanowił jedną z istotnych ukrytych kwestii nowożytności albo nawet jej kwestię najistotniejszą, odmienił się zasadniczo i zaostrzył, przybierając postać swoistego «afektu antyojcowskiego». Nowożytność kończy się na naszych oczach, a świat ponowoczesny pojawia się jako zwątpienie w sens poszukiwania porządku, który można by jeszcze nazwać ojcowskim” (*Abba. Wobec Boga Ojca*, Kraków 1999, s. 96).

² Por. D. C u p i t t, *Po Bogu*, Warszawa 1998; L. G o n z á l e s -C a r v a j a l, *Ideas y creencias del hombre actual*, Santander 1993 (znakomity przykład iberyjskiej próby przepracowania zasadniczych problemów teologii w epoce „postmodernistyczno-postchrześcijańskiej”).

rganego heroizmu życia w pustym, pozbawionym sensu, wirującym w niewiadomym kierunku i celu wszechświecie, rozszczepionym na nie przystające do siebie, a tym bardziej do człowieczych pragnień kawałki. Chrześcijaństwo, według tych opinii, przestało odgrywać rolę kulturotwórczego zaczynu. I nigdy już, zdaniem proroków „ery postchrześcijańskiej”, do swej dawnej roli nie wróci...

Problem jest poważny. Nie wolno go z pewnością zbywać wzruszeniem ramion, ironicznym grymasem, udawaniem, że nie ma „żadnej sprawy” bądź wzmocnieniem murów obronnych i zwarciem szeregów. Najgorszą reakcją byłaby kapitulacja, to znaczy rezygnacja z prób wnoszenia chrześcijaństwa na areopagi świata.

To, co najlepsze w chrześcijańskiej myśli i teologii, podpowiada, że kluczem do pozytywnej relacji „chrześcijaństwo – kultura” i modelem dialogu w tej dziedzinie jest misteryjna rzeczywistość osoby i dzieła Jezusa Chrystusa, czyli głębia Tajemnicy Wcielenia oraz jej egzystencjalne i zbawcze konsekwencje – chrześcijaństwo nie ma lepszych intelektualnie i „życiowo” argumentów. Chrystologia – jak wiadomo – stanowi jądro teologii systematycznej i teologii w ogóle, a jej centralny punkt to tajemnica „w-cielenia”, *Incarnatio Filii Dei*, historiozbawczo przełomowe dzieło Boga. Autor prologu Ewangelii według św. Jana w niemożliwy do przewyższenia w ludzkim języku sposób nazywa to wydarzenie „*Logos sarx egeneto*” – „Słowo stało się ciałem” (J 1, 14). Wcielenie jest żywym i życiodajnym centrum chrześcijaństwa i proponowanego przez nie oglądu i rozumienia rzeczywistości. Wyrastające z tego wydarzenia oryginalnie chrześcijańskie postrzeganie, poznawanie i pojmowanie określamy jako optykę inkarnacyjną. Chrześcijaństwo nie ma zresztą tak naprawdę nic ważniejszego do powiedzenia światu i tworzonej w ciągu ostatnich dwudziestu wieków kulturze, nic ważniejszego jak właśnie to: Wcielenie Boga jako „soczewka”, jako „pryzmat”, jako fundament... Jako eschatologiczne (ostateczne i spełnione) spotkanie Boga z człowiekiem, wieczności z historią, nieba z ziemią. Chrześcijaństwo uczy się myślenia wyciągając wnioski z tego spotkania. Rozumie, że Jezus Chrystus, Jego osoba i dzieło, jest miejscem, które po wsze czasy jest modelowym wzorcem tego, iż Bogu i człowiekowi jest ze sobą dobrze. I w tej chrystologicznej przestrzeni chrześcijaństwo uczy się postrzegać relację „Kościół – kultura”. Konsekwentnie przemyślana i przeżyta chrystologia inkarnacyjna może być raz jeszcze w dziejach świata lekiem na tendencje wieszczące koniec chrześcijaństwa. Ale po kolei.

II

Widywałem je w Nazaré i w okolicznych wioskach, na krawędzi Europy i Atlantyku. Były ubrane na czarno, nuciły smętne, nostalgiczne pieśni (portugalskie *saudade*, daleki odpowiednik naszej tęsknoty, jest właściwie nieprze-

tłumaczalne na żaden z indoeuropejskich języków: to coś o wiele głębszego niż „zwykły” Weltschmerz; oprócz wszystkich odmian nostalgii i tęsknoty zawiera w sobie jeszcze „cały” ból istnienia, doczesnego niespełnienia, i gorzki owoc typowo portugalskiego obcowania z bezkresem oceanu). Wypoczywały w cieniu kościołów i białych dzwonnicy. Stare kobiety, sterane twardym życiem rybackich rodzin, losem ubogich. Staruszki o twarzach ciemnych, z oczyma zgaszonymi gęstą siecią zmarszczek. Stale z jakimś ciężarem na głowie: z koszem bielizny, z koszem owoców, z naręczem chrustu. Może to od tych ciężarów większość z nich przy niewielkim wzroście wieśniaczki miewa nogi opuchnięte, z fioletowymi śladami żyłaków, nogi z trudem wspinające się po stopniach wiejskich kościółków. Ale przychodziły jednak do chłodnych wnętrzy wyściełanych kafelkami azulejos. Rację miał ksiądz Pasierb: „stare kobiety lubią być w kościele / są najwierniejszą publicznością Pana Boga” (*Stare kobiety w kościele*)³.

Takie babcie widziałem też wiosną 1999 roku w Sewilli, pachnącej wówczas odurzającym aromatem kwitnących pomarańczy. W parafialnym kościele pod wezwaniem Matki Bożej Białej Gołębicy, w ubogiej dzielnicy Los Pajaritos pracuje mój przyjaciel, filipin, Witek Wolny. Był Wielki Czwartek, Msza Wieczery Pańskiej. Dwanaście starszych kobiet pełniło podczas liturgii rolę dwunastu apostołów. Niezgrabnie wchodziły po stopniach ołtarza prowadzone przez młodszych krewnych. Proboszcz Paco umywał im stopy na wzór Mistrza z Wieczernika. Ich nogi były nogami kobiet z andaluzyjskiej biedoty, z dołów społecznych.

W kilka miesięcy później w pewien sierpniowy, deszczowy wieczór odprawiłem z przyjaciółmi Mszę świętą w Bishop Mountain na Alasce, w diecezji Fairbanks. Nasz przewodnik, ksiądz Andrzej, polski misjonarz, dopływa tu często motorówką po mętnych i niebezpiecznych wodach Yukonu. Po drugiej stronie ołtarza stały dwie kobiety, Anne i Virginia, oraz Roger, mąż tej pierwszej. Wszyscy starzy, schorowani. Rozmawiali niewiele, wyciszeni, jakby się zapadli w siebie na skutek zbyt długiego życia. Po Mszy częstowali nas kawą-lurą w zaimprovizowanym kościele, czyli w ich chacie. Było w jej wnętrzu ciepło, choć brudno.

Eucharystia ta była bardzo prosta. Przeżywałem ją z ogromnym wzruszeniem, którego korzenie sięgały daleko poza Alaskę. To, co widziałem, było mi drogie i bliskie. Rozpierała mnie duma, że jestem chrześcijaninem, że współtworzę Kościół, który zawsze w swym najgłębszym i najwartościowszym nurcie był wspólnotą niewolników, ludzi wydziedziczonych i słabych; że tu, w tym zapyziałym zakątku świata, w tej Ameryce klasy C, Chrystus umiera i zmartwychwstaje dla kilku starych i nieciekawych (po ludzku) osób, z których żadna już „nic nie ma”; że Andrzej, katolicki kapłan, przypląwa tu do nich i dla takich

³ Ks. J. S. P a s i e r b, *Po walce z aniołem*, Warszawa 1996, s. 50.

mszy podejmuje kolosalny wysiłek, zupełnie nieproporcjonalny do „skutku” – to się nie opłaca pod żadnym względem. Poza względem Boskim.

Znałem ten sposób chodzenia, którym porusza się Virginia. Tak chodzą „na Ofiarę” (Opfergang) wokół śląskich ołtarzy nasze babcie o artretycznie opuchniętych kolanach. Tak chodziła moja babcia, Matylda, w ostatnich latach życia, pod górkę, na msze do pszowskiego kościoła. Z wyczerpania przystając co chwilę, dla niepoznaki, przed oknami wystawowymi sklepów z tamtej zgrzebnej epoki, kolebiąc swoje zużyte ciało pięknej kiedyś dziewczyny – ku Bogu. Takie kobiety widuję okutane chustami w lubelskich kościołach. Z nimi, pozbawionymi już blasku i użyteczności, Kościół jest sobą, chrześcijaństwo ukazuje swoją najpiękniejszą twarz: współczującej obecności zbawczo pochyłego nad światem Boga⁴.

III

W perspektywie sensu, który otrzymuje w blasku cudu Wcielenia drepcząca w stronę kościoła staruszka, tezy o erze postchrześcijańskiej brzmią dla mnie jak „skrzek karłów”, cytując poetę. Piszę to bez ironii i dezawuowania inaczej myślących. Opinie o epoce postchrześcijańskiej są przenikliwe, diagnozy nierzadko głęboko przemyślane, tezy mądre – a jednak mi obce.

Godzi się bowiem – sędzę, nie zawłaszczając, broń Boże, „jedynie słusznej perspektywy” i racji – na problem spojrzeć z perspektywy większej niż parę sezonów czy dwie dekady. Potrzebna jest perspektywa millenniów. Ale i z mniejszego dystansu widać przecież rzecz wyraziście: siła chrześcijaństwa płynąca z jego bezbronności jest światu potrzebna jak nigdy. Będzie potrzebna nawet wówczas, gdy chrześcijaństwo będzie ciche, pokorne, a w kategoriach świata zmarginalizowane. Twierdzę bowiem, że chrześcijaństwo budowane na wydarzeniu Jezusa Chrystusa, na paradygmacie Wcielenia, ma w sobie genetycznie niejako zakodowaną słabość – pewien rodzaj charakterystycznego tylko dla niego „wewnętrznego pochylenia w stronę przegranej”. Jest mianowicie Boskim pomysłem realizacji zbawienia człowieka i świata, ale „kenotycznie” skrojonym na ludzką miarę, pomysłem dostosowanym do człowieczych ograniczeń i związanych z przemijaniem słabości.

Boska moc inkarnacji ma swoje najgłębsze źródło w kenozie Boga. Oto paradoks. To z powodu Wcielenia, jego konkretności (ten, a nie inny czas, to, a nie inne miejsce, takie, a nie inne, ograniczone i kruche, ukrzyżowane w końcu „bycie człowiekiem”), Jezus „nie nadażał”, prowokując już tam i wtedy początki myślenia o erze postchrześcijańskiej. Będąc synem Izraela łatwiej

⁴ Por. treści ogłoszonego 1 X 1999 roku listu Jana Pawła II *Do moich Braci i Sióstr – ludzi w podeszłym wieku*.

trafić do mieszkańców basenu Morza Śródziemnego niż do Eskimosów, a rodząc się przed dwoma tysiącami lat ma się trudności z translacją swojego przesłania dla pokolenia żyjącego u progu XXI wieku według „ordine cibernetico”. Ale nie można być człowiekiem w ogóle, wszędzie i zawsze. Cud Wcielenia jest związany nieodwołalnie z kruchością konkretności. I teraz najważniejsze: chrześcijaństwo jest najbardziej sobą, kiedy idzie tą właśnie drogą, krok w krok za Mistrzem. Wcielając się – za każdą cenę, również za cenę braku sukcesu i widzialnych wpływów na wielką kulturę i wielką politykę.

W tej perspektywie pytanie o to, czy nadchodzi era postchrześcijańska (przy całej jego trafności, powadze i ciężarze gatunkowym), jest pytaniem o co najmniej jedno piętro niżej niż perspektywa myślenia, którą oferuje teologia inkarnacji. Myślenie bowiem o losach świata w kategoriach ery chrześcijańskiej czy postchrześcijańskiej (skądinąd ważne, nie lekceważę bynajmniej problemu!) jest jednak w perspektywie inkarnacyjnie pojętej kenotycznej miłości Trójjedynego nie do końca stosowne, jeśli chcemy wydobyć to, co autentycznie specyficzne dla chrześcijaństwa, czyli charakterystyczne zapomnienie o wpływie na losy świata z powodu troski o staruszkę w którymś z peryferyjnych miejsc globu.

Nie mam zamiaru udawać, jakobym nic nie wiedział o pustych kościołach w Holandii. Albo o wielu skomplikowanych stronach sytuacji Kościoła nad Wisłą. Proponowana jednak zmiana perspektywy myślenia o tym, co „chrześcijańskie”, a co „postchrześcijańskie”, płynie nie ze strusiego odruchu ani tym bardziej z ukrywanej rozpaczki. Płynie ona z głębokiego przekonania, że sprawy te są dużo głębsze i nieco inne.

Inkarnacyjna „człowieczość Boga” jest Boską odpowiedzią na cierpienie świata, odpowiedzią wyrażoną najgłębiej w krzyżu Jezusa Chrystusa. A także w wydarzeniu Jego zmartwychwstania⁵:

Jeżeli Bóg wcielił się w człowieka, umarł i zmartwychwstał,
Wszelkie ludzkie zajęcia są godne uwagi
Tylko w tym stopniu w jakim od tego zależą,
To znaczy zyskują sens przez to wydarzenie⁶.

(Albo – albo)

⁵ „Wraz z wiarą w cielesne zmartwychwstanie Jezusa pojawia się podstawowe prawo wiary chrześcijańskiej. Odrzucić należy wszelkie doketyzyczne doktryny soteryczne i każdy spirytualistyczny egzystencjalizm, redukujący wiarę do metafor i ukazywania znaczenia oraz gorszący się realizmem wyznawania wiary [...] chodzi o uznanie prawdziwej, integralnej ludzkiej natury Jezusa Chrystusa, do której należą ludzkie ciało i rozumna, obdarzona ludzką wolą dusza (zwłaszcza przeciwko doketyzmowi, apolinaryzmowi i różnym odcieniom monofizytyzmu i monoteletyzmu)”. G. L. Müller, *Chrystologia – nauka o Jezusie Chrystusie*, Kraków 1998, s. 244, 297.

⁶ Cz. Miłoś, *Dalsze okolice*, Kraków 1991, s. 37.

Przypuszczam, że to, co w naszej epoce najgroźniejsze, bierze się z zaprzeczenia klasycznego paradygmatu chrystologii. Zaprzeczenie owo polega na (rozlicznych) próbach uczynienia człowieka bogiem. Tymczasem przypomnijmy zasadę sformułowaną przez Ireneusza, Atanazego i innych Ojców Kościoła: „Bóg staje się tym, czym jesteśmy, abyśmy mogli być tym, kim On jest”. Stanie się podobnym do Boga, przebóstwienie, jest więc niemożliwe na drodze uzurpacji. Tylko inkarnacja Boga stanowi jego autentyczny fundament. Przebóstwienie albo jest darem, albo nie ma go wcale. Związki chrześcijaństwa z kulturą są na dłuższą metę i w głębszym sensie możliwe jedynie w paradygmacie ortodoksyjnej chrystologii. Natomiast wówczas, gdy model „Bóg – człowiek” zaczyna być zastępowany modelem „człowiek – Bóg”, mamy do czynienia z najbardziej bodaj wyraźną granicą między tym, co chrześcijańskie, a tym, co niechrześcijańskie (właśnie z „erą postchrześcijańską” włącznie).

Areopagi świata potrzebują chrystologicznej prawdy jak leku. Choroby umysłu i ducha zachowują bowiem – tak dziś, jak i wczoraj – swą śmiertelnością moc. Infekcje atakujące cywilizację bywają prawie zawsze takie same. Zmiany dotyczą jedynie akcentów, kierunków ataku, nowych mutacji wirusa. Z pewnym uproszczeniem teologiczno-filozoficznych zawiłości można je sprowadzić do koniecznej (jakoby – a w sumie fałszywej) alternatywy: albo monizm (materializm, komunizm; natura jest całkowicie dobra itd.), albo dualizm (skrajny spirytualizm, manicheizm; natura jest całkowicie zła, diabelska itd.).

W tym sensie i w tej perspektywie nie istnieje dla naszej ludzkiej kultury wydarzenie ważniejsze niż wydarzenie Wcielenia. Optyka inkarnacyjna zakorzeniona w cudzie Wcielenia pomaga wyjść z labiryntu niszczącego myślenia, ducha, kulturę. Chrystologia staje się w ten sposób soteriologią ludzkiej kultury. Zarówno człowiek, jak i jego dzieła znajdują bowiem wówczas wyjście z diabelskiego kręgu błędnych alternatyw: albo monizm – albo dualizm, albo materializm – albo spirytualizm, albo fundamentalizm – albo skrajny sceptycyzm. Również z najgorszej z nich: albo Bóg – albo człowiek⁷.

Osoba Jezusa Chrystusa jest dowodem na to, że dobrze jest Bogu i człowiekowi być razem w osobowym zjednoczeniu. Oto więc istota chrześcijańskiego paradygmatu Wcielenia. Oto centrum historii świata i fundament ludzkiej kultury. Oto klucz do tajemnicy konkretnego losu i życia każdej konkretnej osoby.

Jak długo zaś ksiądz Andrzej płynie wzburzonym Yukonem do kilku Indian, starych, chorych, z objawami demencji, by odprawić im Mszę świętą; jak długo na Półwyspie Iberyjskim proboszcz umywa nogi staruszkom ze spuchniętymi kolanami, kobietom, które nie mają żadnego wpływu na kształt er, w których żyją – tak długo żyjemy w erze chrześcijańskiej. I cokolwiek by się

⁷ Por. J. S z y m i k, *Paradygmat Wcielenia jako fundament ludzkiej kultury. Teologiczna refleksja – literackie świadectwo*, w: *Wokół Tajemnicy Chrystusa*, red. A. Czaja, Z. Glaeser, G. Iwiński, Opole 1997, s. 9-22.

działo z naszym światem – jest on ocalony. Ocalenie bowiem (zbawienie) jest darem. Bóg stał się człowiekiem i dlatego człowiek o własnych siłach nie musi stawać się bogiem.

IV

A zatem, aby uniknąć nieporozumień raz jeszcze powtórzmy pytanie: czy jest to zmierzch chrześcijaństwa? Sporo jest znaków, że tak. Na przykład owa jakże dominująca i rozszerzająca wpływy mentalność cybernetyczno-wirtualno-multimedialna, antykontemplacyjna i rozkojarzona z definicji. Ale...

Ale przecież widziałem modlących się żarliwie w kaplicy Najświętszego Sakramentu w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku tego lata (w sierpniu 1999 roku) w samym środku świata znerwicowanych yuppies. Modlący się byli młodzi, zdrowi, modni, ładni. Nie mieli (jeszcze) opuchniętych kolan.

Więc chyba jest tak: myśląc o zmierzchu bądź renesansie chrześcijaństwa zaczynamy je nazbyt często i nazbyt nachalnie mierzyć zbyt ludzką miarą. A jest ono przecież Królestwem Łaski. I jako takie będzie zawsze wymykało się naszym zbyt ziemskim odpowiedziom.